



Wzruszająca opowieść o piątce
młodych ludzi, których losy płaczą
się niczym nitki babiego lata na
wietrze wielkiej historii.

Gdziekolwiek jesteś

AGNIESZKA
OLEJNIK

FILIA

AGNIESZKA
OLEJNIK

Gdziekolwiek
jesteś

FILIA

2 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Niebo było czyste jak lza, jasnego błękitu nie mąciła nawet najmniejsza chmurka. Ludzie spieszyli do pracy, rudy kot przemykał po ceglany murze na zaplecze piekarni, starszka w niemodnym kapeluszu dźwigała koszyk śliwek, z których zamierzała usmażyć słodkie powidła.

Gdyby nie kordony policji i wojska blokujące dostęp do niektórych instytucji i gmachów; gdyby nie zakłócenia ruchu ulicznego – jak choćby tramwaj zatrzymany na ostatnim przystanku przed Wrzeszczem przez ciągnącą ku Gdyni artylerię – można by się łudzić, że wojna wcale nie wybuchła, a wczorajsza poranna kanonada, dochodząca od strony morza, była tylko salutem przyjaźni.

Tak w każdym razie pomyślał młody mężczyzna o szarych oczach, który zatrzymał się na moment przed witryną księgarni, by zdjąć pulower, ponieważ w miarę jak słońce wspinało się po niebie, robiło się coraz cieplej.

Zanim ruszył w dalszą drogę ku stacji kolejowej, podwinął jeszcze rękawy koszuli. Dzięki tym kilku minutom spędzonym przy szybie sklepowej mógł obserwować nerwowe

ruchy księgarza, który w popłochu usuwał z wystawy polskie książki. Szarooki podróżny, choć słabo znał polski, zdołał odczytać jeden z tytułów: „Ład serca”. Nie rozumiał słowa „ład”, ale doskonale znał ten drugi wyraz. Właśnie serce przywiodło go tu, do Wolnego Miasta Gdańska, w tak niespokojnym czasie.

Zarzucił sobie pulower na ramię, ujął w jedną rękę torbę podróżną, w drugą zaś drewnianą laskę, którą wcześniej oparł o hydrant, po czym utykając, ruszył w dalszą drogę. Nie był pewien, dokąd właściwie powinien się udać. Adres, pod którym spodziewał się znaleźć ukochaną, okazał się nieaktualny. Mieszkający tam mężczyzna nazwiskiem Haupke, nietrzeźwy mimo wczesnej pory, nie potrafił powiedzieć nic ponad to, że poprzednie lokatorki wyjechały. Ale dokąd? W okolice Pucka? Na Prusy Wschodnie? Wszystko mu się mieszało.

– Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu był tu taki jeden Polaczek na motocyklu – wybełkotał. – On też niby w tej sprawie. No i list zabrał, powiada, że dostarczy tej młodej.

Kim był ów motocyklista, o który list chodziło i dokąd go zabrał, tego pijany Haupke nie pamiętał. Podróżny o szarych oczach westchnął z pokorą i podziękował Bogu choć za te strzępki informacji. Tylko dokąd teraz? Gdzie ma szukać Katrin? Kaszuby czy Prusy Wschodnie? A może słuszniej byłoby wrócić do Leipe?

Jedynym, co wiedział na pewno, co do czego nie żywił żadnych wątpliwości – było to, że musi szukać dalej. Że nie

zazna spokoju, dopóki nie odnajdzie dziewczyny o włosach
płowych jak trawa i nie upewni się, że jest bezpieczna. Na-
wet jeśli to nie ma już żadnego znaczenia, bo ona ułożyła
sobie życie i wcale na niego nie czeka.

On musi.

10 MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Blady świt wstał nad polami, które w nocy przykryła kolejna warstwa śniegu. Tu i ówdzie pomrukiwały krowy, a w sąsiednim domostwie histerycznie zapiał kogut. Wieś budziła się po długiej zimowej nocy.

– Napij się – odezwał się stary człowiek. – Ciepłe mleko, no, pij.

Anna nic nie mogła poradzić na to, że aż nią wstrząsało z obrzydzenia. Nie znosiła mleka, a już takie świeże, spienione, prosto od krowy, wydawało jej się wyjątkowo wstrętne. Śmierdziało oborą. A jednak piła. Duszkiem, żeby mieć to już za sobą. I przede wszystkim – nie rozczarować staro człowieka.

Jak to się stało, że trafiła do jego domu na skraju wsi Merke? Dość długo nie mogła sobie przypomnieć. Przez kilka dni leżała w malignie, nieświadoma tego, że ktoś ją troskliwie pielęgnuje, obmywa jej zakrwawione ciało i cierpliwie poi, kropla po kropli, zwilżając szmatką spieczone usta.

A potem odzyskała przytomność. Z dusznych, męczących snów, w których nie działo się nic konkretnego,

a jedynym, co Anna z nich pamiętała, było dojmujące poczucie krzywdy i zagrożenia – nagle przeniosła się do jawy, do tu i teraz.

Tu i teraz było dobre, ciepłe, bezpieczne. Stary człowiek nie pytał, kim jest i skąd przybyła. Ona także nie zadawała żadnych pytań. Przez pierwsze dni po odzyskaniu przytomności usiłowała sobie jedynie przypomnieć, jakim cudem znalazła się w tym pachnącym starością domu.

Niektóre rzeczy pamiętała bardzo dokładnie. Na przykład to, jak od wielu miesięcy Helmut Stiemann, ten obrzydliwy faszysta paradujący w brunatnym mundurze, szantażował ją, że jeśli nie będzie spełniała jego seksualnych zachcianek, doniesie na jej ojca, który był przeciwnikiem Hitlera i deklarował, że nie jest Niemcem, lecz Serbołużyczaninem. To, jak po każdym ataku epilepsji Stiemann straszył, że takich jak ona naziści sterylizują, aby nie mogli się rozmnażać – dokładnie tak to określił. Że wytną coś w jej brzuchu lub zaszyją krocze.

To, jak ją gwałcił, gryzł i szczypał, i jak podniecało go, kiedy płakała z bólu. Jak z dumą opowiadał, że okradł Jacoba Dulke, i zasugerował, że go zabił (nie powiedział tego wprost, ale ona się domyśliła). To, jak doniósł na jedyne go chłopca, który kiedykolwiek okazał Annie sympatię – Petera Kesslera.

Tak, wszystkie te rzeczy były nadal boleśnie żywe i wyraźne w jej pamięci. Nieco gorzej radziła sobie ze wspomnieniami z owej grudniowej nocy, kiedy w wynajętym

mieszkańcu upiła swego prześladowcę i podcięła mu gardło. Na początku krew chlusnęła i potem przez kilka minut wypływała pulsującym strumykiem, kiedy Helmut usiłował walczyć, nie uświadamiając sobie, że ręce ma przywiązane do ramy łóżka. Wierzył bezradnie nogami i dławił się posoką, narobił hałasu, ale na szczęście dość szybko przestał się poruszać.

Wówczas Anna ubrała się – do tej pory wszystko robiła nago – i podwinęła rękawy sukienki. Uklękła na podłodze, odmówiła modlitwę, po czym ujęła nóż do ćwiartowania świni, ten sam, którym wcześniej zaszlachtowała Stiemana, i usiłowała podciąć sobie żyły. Zdawała sobie sprawę, że nie zdoła uniknąć odpowiedzialności. Wszyscy wiedzieli, że spotykała się z Helmutem, więc zapewne dla policji jej udział w zbrodni będzie czymś oczywistym. Poza tym właścicielka mieszkania była okropnie wścibską, typową małomiasteczkową plotkarą; widywała ich razem i często podglądała przez judasza, gdy wchodzili po schodach. Zapewne poprzedniego wieczoru było tak samo.

Anna nie zamierzała dać się zamknąć w więzieniu. Zwłaszcza że nie czuła się winna. Przeciwnie – początkowo nawet rozpierała ją duma z powodu tego, czego dokonała. Usunęła ze świata najgorszego człowieka, jakiego знаła. Zupełnie jakby wyrwała z korzeniami chwast, który odbierał pożywienie i słońce dobrym, pożytecznym roślinom. Tak to postrzegała. Wiedziała jednak, że żaden sąd jej nie uniewinni.

Nikt nie uwierzy, że Stieman ją gwałcił, a nawet gdyby zdołała to udowodnić, to przecież była Wendyjką, on zaś – Niemcem czystej krwi, z chorą dumą noszącym swój obrzydliwy mundur w kolorze sraczkii. Według nazistów Słowianie po to właśnie istnieli, by być podnózkami dla rasy panów, zaś w opinii Hitlera sens istnienia kobiety stanowiły służba mężczyznom i rodzenie dzieci. Żaden sędzia nie uzna, że dziewczyna działała w obronie własnej albo że miała prawo sama wymierzyć sprawiedliwość swemu oprawcy.

Dlatego – przemyślawszy rzecz całą na chłodno, bez emocji – postanowiła popełnić samobójstwo. Wydawało się to łatwe. Gdy człowiek nie ma odwrotu, po prostu podejmuje decyzję. Jedno cięcie i po sprawie, czyż nie? A jednak Anna nie mogła. Przykładała nóż do nadgarstków i cięła, lecz powstały jedynie powierzchowne rany. Nie potrafiła mocniej przycisnąć ostrza. Krwi było dużo, coraz więcej, wciąż jednak nie tyle, by od tego umrzeć. Krzepła niemal natychmiast. Powinnam ciąć głębiej, myślała dziewczyna z rozpaczą, ale z jakiegoś powodu nie była w stanie. Jej ciało broniło się przed realizacją owego pomysłu, a ból poranionych tkanek sprawiał, że znajdowała się na skraju wytrzymałości. W końcu przyłożyła czubek noża do brzucha i usiłowała nabić się na niego, lecz i tego nie potrafiła przeprowadzić – zniszczyła tylko sukienkę i kilkakrotnie nakłuła skórę, jednak ostrze nie wniknęło głębiej.

W tym właśnie punkcie jej pamięć zaczynała szwankować – do owego momentu pamiętała wszystko, zaś z reszty

nocy – jedynie strzępy, oderwane od siebie obrazy, jakby to była fotografia, którą ktoś podarł na drobniotkie kawałki, a potem nie mógł poskładać jej w całość. No więc przypomniała sobie, że włożyła buty i wybiegła w noc, w ciemność, na chłód i wiatr, bez płaszcza, w podziurawionej, zaplamionej krwią sukience. Miasteczko Sommerfeld pogrążone było we śnie – nikt jej nie widział. Minęła Büttelturm oraz park zamkowy i skierowała się od razu w stronę Lubst, chcąc po prostu rzucić się do rzeki, by dokończyć to, co tak nieudolnie zaczęła. Teraz następował taki fragment, którego nie pamiętała wcale – zapewne rzeczywiście znalazła się w lodowatej wodzie, może nawet straciła przytomność, lecz nie utonęła, zapewne dlatego, że rzeka była w tych okolicach za płytka. Co się działo dalej? – Anna nie miała pojęcia. Czy dostała ataku epilepsji? Zemdlała, a nurt zniósł ją gdzieś do brzegu? Kiedy odzyskała świadomość, leżała naga pod grubą pierzyną, a wokół unosił się kojący zapach ziół i drewna. Dorzucane do pieca polana trzaskały przyjaźnie, niemal wesoło.

Stary człowiek nie dociekał, skąd rany na jej rękach i brzuchu. Poplamioną krwią sukienkę spalił, a gdy dziewczyna się ocknęła, w zamian dał jej inną – nieco już niemodną, lecz wciąż w dobrym stanie, tyle że za dużą.

– Należała do córki – powiedział tylko. – Ma na imię Marta.

Upłynęło jeszcze kilka tygodni, minęło Boże Narodzenie, przez starego człowieka obchodzone bardzo skromnie. Dni

stawały się coraz dłuższe, choć zima wciąż trwała; Anna widziała przez okno, że z dachu zwisają sopte ostre niczym sztylety. Nie leżała już w łóżku, przeciwnie – odczuwała trudną do zwalczenia pokusę, by się krzątać po domu. W słoneczne dni, kiedy z sopli kapała woda, dziewczyna uchylała okno i wdychała dochodzący spod śniegu zapach rozmarzającej ziemi. Właściwie mogłaby się czuć zupełnie dobrze: było jej ciepło, a milczenie starego człowieka odczuwała jako kojące. Istniały jednak dwie rzeczy, które odbierały jej spokój.

Pierwszą z nich był lęk przed policją, która zapewne robiła wszystko, by ją znaleźć. Anna nie znała się zupełnie na metodach śledczych, lecz wyobrażała sobie psa tropiącego, który podąża jej śladem, dochodzi do miejsca, w którym rzuciła się bądź wpadła do rzeki... I co dalej? Tu jej wyobraźnia szwankowała; a może zresztą nie była to kwestia wyobraźni, lecz braku wiedzy. Czy zapach krwi, z pewnością bardzo wyraźny na sprzętach i ubraniach, utrzymał się także w wodzie – w dodatku wartko płynącej? Czy pies (o ile w ogóle go użyto) doprowadził inspektora policji kryminalnej do miejsca, gdzie stary człowiek wyciągnął Annę na brzeg? Co, jeśli trafią także do wsi Merke? Wizja policjanta walącego w drzwi i wywlekającego ją na śnieg, prześladowała ją we śnie i na jawie.

Drugim powodem zmartwienia Anny byli ojciec i matka. Nawet nie w tym rzecz, co czuli, co pomyśleli, dowiedziawszy się, że ich córka popełniła zbrodnię. Nie, to wydawało

się w tej sytuacji mniej ważne. Najistotniejsza sprawa – czy byli bezpieczni. Dziewczyna usiłowała sobie wyobrazić, jak potoczyły się wydarzenia po owej makabrycznej nocy. Czy Helmuta znaleziono już nazajutrz, czy dopiero po kilku dniach? A jeśli po kilku, to czy w międzyczasie rodzice zaczęli jej szukać? Czy zgłosili zaginięcie na policji? Anna miała nadzieję, że tak, bo gdyby tego nie zrobili, stawiałoby ich to w złym świetle. Policja zaczęłaby podejrzewać, że zwlekali celowo, aby umożliwić jej ucieczkę. Ojca i tak od dawna obserwowano, jego panslawistyczne poglądy były ogólnie znane, podobnie jak działalność w serbołużyckim towarzystwie „Domowina”, więc już wcześniej wisiała nad nim groźba aresztowania. Czy zatem Anna mogła żywić nadzieję, że konsekwencje jej czynu rykoszetem nie uderzą w niego?

Długo myślała, co mogłaby zrobić, by go chronić, aż wreszcie znalazła rozwiązanie – a stało się to dzięki wizycie córki starego człowieka, owej Marty, której ubrania teraz nosiła. Kobieta przyjechała zniecka, bez zapowiedzi, i od progu zaczęła przeproszać ojca, że dopiero teraz. Anna w popłochu weszła do szafy i skuliła się za płaszczami oraz sukienkami pachnącymi naftaliną. Nie była pewna, czy stary człowiek chciałby, aby jego córka dowiedziała się o tym, że zaopiekował się niedoszlą samobójczynią.

Zapewne nie chciał, bo nie wprowadził Marty do pokoju, ugościł ją w kuchni. Anna, z uchem przyklejonym do tylnej ścianki szafy, słyszała wyraźnie brzęk szklanek

i spodeczków, syk pary wydobywającej się z czajnika i utyskiwanie Marty na to, że ojciec jest uparty, bo nie pozwala się zabrać do Sorau, gdzie przecież miałby opiekę i mógłby bawić się z wnukami.

– Wiesz, że lubię być sam – mruknął tylko, a Anna wyobraziła sobie dobrotliwy uśmiech na jego twarzy.

– Ale zimą ciężko samemu. Drewna musisz narąbać, w piecu napalić...

– Całe życie to robiłem.

– Tato... – Kobiety głos umilkł na dłuższą chwilę, a potem jakby niepewnie dokończył: – Ja się martwię, że znowu ci przyjdzie do głowy skończyć ze sobą... Że w tych zimowych ciemnościach opadną cię dawne złe myśli.

– Nic mnie nie opadnie – uciął sucho gospodarz. – A jeśli się o mnie martwisz, to po prostu pisz. Wiesz przecież, jak lubię listy.

W ten oto sposób Anna dowiedziała się, że stary człowiek też kiedyś usiłował pożegnać się z tym światem, tak jak ona odejść na własnych warunkach. Nie zapytała kiedy, z jakiej przyczyny i jakim sposobem, lecz teraz stało się dla niej jasne, dlaczego z taką cierpliwością zaopiekował się nią i pielęgnował jej rany na nadgarstkach. Przeszliśmy podobną ścieżkę od ciemności do światła, myślała. Może i jest ode mnie starszy o kilkadziesiąt lat, lecz najwyraźniej są takie sprawy, które łączą pokolenia. Wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy podobni, tak samo się rodzimy, boimy się, cierpimy... I pragniemy tego samego:

bezpieczeństwa, spokoju i dobra. A gdy tego zabraknie, postanawiamy uciec.

Marta pożegnała się wkrótce potem i – zapewniwszy ojca, że gdyby czuł się samotny, w każdej chwili może się do niej przeprowadzić – wyszła, zabierając trochę jajek i dwie gomółki twarogu dla dzieci. Z podsłuchanej rozmowy Anna wywnioskowała, że dobrze jej się powodzi, mieszka w Sorau, a jej mąż Günther jest urzędnikiem. Lecz wizyta tej kobiety stała się ważna z innego powodu. Słowa starego człowieka – „po prostu pisz” – podsunęły jej pewien pomysł.

*

Marlene Wiemann po raz kolejny poprawiła włosy, choć nie na wiele to się zdało, bo w wilgotnym powietrzu puszyły się i nie chciały ładnie leżeć. Wyobrażała sobie, że wygląda okropnie – w dodatku ostatnio znowu źle spała, więc pod oczami miała sine obwódki.

Przechadzała się po rynku, wiedząc, że Rudolf Hertz wszedł do siedziby redakcji „Sommerfelder Tageblatt”, gdzie dawniej pracował. Przyjechał na trzydniową przepustkę, a ponieważ nie miał rodziny ani bliskich przyjaciół, odwiedzał tu znajomych. Marlene należała do tych ostatnich, choć nie miałyby nic przeciwko temu, by stać się kimś więcej. Znacznie więcej. Rudi podobał jej się od zawsze, zresztą niełatwo byłoby znaleźć dziewczynę, na której regularne rysy, blond włosy i niebieskie oczy młodzieńca nie robiły wrażenia. Jedynie Katrin Dulke pozostawała obojętna na jego zaloty, lecz ona mieszkała teraz w Danzig.

Marlene i Katrin przyjaźniły się od wielu lat, tyle że w ostatnich miesiącach przed wyprawdawką tej ostatniej ich przyjaźń nieco przygasła. Marlene zupełnie nie

uświadamiała sobie, że to z jej winy – zazdrość o względy Rudiego sprawiła, że bywała złośliwa dla koleżanki, dokuczająca jej z powodu mieszanego, polsko-niemieckiego pochodzenia, a niekiedy nawet w zawołany sposób straszyla, że mogłaby „przypadkiem” powiedzieć o słówko za dużo na temat antynazistowskich sympatii pana Dulke. Nie pamiętała tego. Gdyby teraz ktoś jej o tym przypomniał, zareagowałaby najszczerzym oburzeniem.

Tak czy owak, Katrin się wyprowadziła, inna rywalka na jej miejsce się nie pojawiła, lecz to niczego nie zmieniło – Rudolf Hertz nadal pozostawał obojętny na urodę Wiemannówny. Sam potem także wyjechał, wstąpił do SS-Totenkopfverbände i bardzo rzadko bywał w Sommerfeld. Marlene starała się o nim nie myśleć. Na ogół jej się to udawało, ale tego dnia, zobaczywszy przez witrynę u rzeźnika, jak Hertz zmierza w stronę rynku, wybiegła, porzucając swoje miejsce w kolejce. Chciała z nim porozmawiać. Tym razem jednak nie chodziło o sprawy sercowe, nic z tych rzeczy. Jedyne, co w tej chwili interesowało Marlene, było bezpieczeństwo jej kuzyna, Petera.

Wreszcie Rudolf wyszedł z budynku na rogu Breite Strasse, gdzie mieściła się siedziba gazety codziennej. Dziewczyna czym prędzej przebiegła przez ulicę i pomachała mu energicznie. Na jej widok przez twarz Rudolfa przemknął jakiś cień, jakby jedynie dobre wychowanie powstrzymało go przed grymasem niezadowolenia.

– Marlene – powiedział chłodno, wykonując coś w rodzaju półukłonu. – Witaj.

– Rudi... – wysapała. Och, niepotrzebnie się tak spieszyła, pewnie teraz dostała wypieków. – Dzień dobry. Zobaczyłam cię z daleka...

Odwrócił wzrok, patrzył gdzieś w dal, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że zaczepiła go nie w porę.

– I pomyślałam, że zapytam o Petera – dokończyła czym prędzej, żeby nie pomyślał, że mu się narzuca, że znów chodzi o te wszystkie uśmiechy, krygowanie się i trzepotanie rzęs.

Na wspomnienie tego, jak zachowywała się jeszcze niedawno, wiosną i latem ubiegłego roku, oblała się pąsem. Zalecała się do niego zupełnie bezwstydnie, a na swoje usprawiedliwienie miała jedynie to, że zakochała się po raz pierwszy i zupełnie nie miała doświadczenia w tym względzie. Dopiero kiedy Rudolf wyjechał, a niepodsycane jego widokiem uczucie nieco przygasło, Marlene zrozumiała, że była nachalna, a jej „kobiece sztuczki” okazały się zupełnie nieskuteczne, wręcz żenujące.

Trochę też w zrozumieniu tego wszystkiego pomógł jej czas. Zmieniła się, dojrzała, być może przez to, że definitywnie skończył się okres beztroskich zabaw i głupiotkich rozmów o niczym. Dopadła ją samotność. Straciła Katrin, a potem aresztowano Petera; w ten sposób w życiu Marlene zabrakło dwóch osób, na których naprawdę jej zależało. W dodatku życie rodzinne zaczynało

Pierwsza połowa roku 1939.



Rozdzieleni przez los i złych ludzi, Katrin i Peter nie mogą o sobie zapomnieć. Ona w obliczu rodzinnych nieszczęść szuka schronienia u krewnych w Prusach Wschodnich, on musi walczyć o przetrwanie. Mimo oddalenia i niepewności jutra próbują ocalić to, co najcenniejsze: swoją miłość.

Udręczona Anna ukrywa się przed nazistowskim wymiarem sprawiedliwości. Marlene idzie za głosem serca i wyjeżdża z rodzinnego miasteczka. Zaś Rudolf Hertz wstępuje do SS, choć czyni to z powodów bardzo osobistych.



Losy piątki młodych ludzi z Dolnych Łużyc płączą się niczym nitki babiego lata na wietrze historii. Żadne z nich jeszcze nie przeczuwa wojennej nawałnicy, która obróci wniwecz ich marzenia i plany.

FILIOTEKA.PL

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 44,90 zł

ISBN 978-83-8280-940-4



9 788382 809404